Lwów 27. Października **№ 128.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę.* We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

(Ciąg dalszy.)

X.

Cytacja sądowa.

Wróćmy raz jeszcze, raz ostatni do zamku Buczackiego, w którym też ostatnie odbywają się chwile huczniejszego i świetniejszego życia. Jeszcze chwil kilka, dni i miesięcy, a z wyjazdem starosty Kaniowskiego, ostatniego znakomitszego dziedzica tego muru, zamilknie stary zamek na zawsze. Cisza osiędzie w pustych salach, zwiastunka smutnego losu wszelkiej u nas świetnej przeszłości, która w onym czasie dogorywała już. I wnet dumne mury twoje pochylą się do upadku, póki się nie rozpadną w gruzy, jakie coraz szerzej i gęściej zapełniały już biedną ojczyznę naszą.

Przeczucie opuszczenia zdawało rozchodzić się po zamkowych komnatach, tak od niejakiego czasu było w nich smutno i nudno. Jak na to coraz rzadsi przyjeżdżali goście, a domownicy szli za przykładem samego pana. Potocki, starosta Kaniowski, coraz był kwaśniejszy i mniej rozmowny; wszystko go nudziło, wszystko go gniewało. Wewnętrzny zdawał się go trapić niepokój. Czuł on się codzień starszym, nie dla tego żeby go ciężar wieku miał przygniatać, ale nadaremnie szukał w sobie tej dawnej butnej, o nic niedbającej rzeskości, z którą rzucał się na wszystko, i drwił ze wszystkiego. Niepokój trawiący go przybierał nieraz postać wyrzutów sumienia, które mu przesuwało obrazy przeszłości, przepędzonej w ciągłym zamęcie rozhukanych namiętności. I w ówczas to miewał napady owej pobożności, targującej się z bogiem za pośrednictwem księży, o przebaczenie grzechów, o wieczne zbawienie. Lecz co gorzej, niepokój ten czasem przewdziewał szaty jakiejś mimowolnej, instynktowej, przeczuciowej prawie bojaźni. Zdało mu się nieraz, jakby coś złego wisiało nad nim. Najwięcej na to usposobienie wpływała przedłużona i niczem nieumotywowana niebytność Herneka, którego oddalenie Krzymuski i Rafałowicz przedstawiali mu w czarnych i złowrogich barwach.

Z początku drwił z nich, lecz pomału sam zaczął wierzyć, że wyjazd Herneka okrywa jakieś tajemne, jemu grożące plany.

Co mu groziło, ani sam nie wiedział, ani mu drudzy wytłumaczyć nie mogli, ale coś zawsze przykrego przewidując, co chwila zmieniał myśli i projekta. To się zamknął w swoim pokoju, i tam czy modlił się czy rozmyślał, zawsze mu stawały przed oczy mnogie grzechy żywota jego. To nagle chciał wyjechać z Buczacza, i znowu brało go jakieś moralne i fizyczne lenistwo. Czasem znowu dawne chciał sobie przypomnieć życie, i dawnem hucznem zahulać życiem, zakrzyczeć i zapić te czarne, dręczące go mary....

— Wina! miodu! dobywać z piwnicy!... będzie bankiet.

Lecz niebyło z kim bankietować, bo wszystkie domówników twarze poprzeciągane, do stypy nie do bankietu podobne były. Mgła smutku i nudoty wszystkie okryła umysły.

Krzymuski od czasu gdy mu tak z pod nosa piękna uciekła narzeczona, spuścił nos na kwintę, chodził nadąsany jak sum, a słabość wewnętrzną, która go bodła, wyrzucał tylko na biednych kozaków, łając ich od stu diabłów, i im to przypisując, że nie złapali uciekających dziewcząt.

— Błazny! gamonie! darmojady! wrzeszczał zasapany. A może i sami puścili dla pięknych oczów tej przeklętej góralki, którą nam rotmistrz djabli wiedzą po co, do zamku przywiózł.

Z Wolskiemi jeszcze gorzej się działo. Po ucieczce córki rotmistrz przebył burzę okropną. Pani z Wolskich i to herbu Grzymała Wolska napadła męża z całej swojej wysokości, i zmyła mu głowę za wszystkie czasy. Były tam wymówki, sięgające całej przyszłości, i za to że była dość głupia pójść za niego, i że djabli wiedzą do jakich Wolskich należy, i że go szatani wodzili po jakichsić tam konfederacjach, z których nic nie przywiózł a stracił zęby, pieniądze, zdrowie i dawne siły, chociaż nigdy zbyt nie tęgie, i że zawsze musiał tam gdzieś wałęsać się światami a zawsze za jakiemiś tam flondrami, czego świadkiem ta przeklęta góralka, którą żeby jasny zatrzasnął piorun. Z tego naturalnie przeszła prosto na ucieczkę córki, którą to ucieczkę uważała jako konieczną konsekwencją mężowskich przewinień, jako skutek tej fatalności, że ona sama

nieszczęśliwa losu ofiara, poszła za takiego do niczego, jakim jest jej mąż, choć niby rotmistrz, i niby pan orderowy. Rekapitulując to wszystko razy kilka, z ciągle nowemi warjantami, w taki wpadała ferwor, że na końcu zasłabła na gorączkę silną, która przy ciągłej alteracyi przeszła w malignę. Biedny rotmistrz sam nie wiedział co ma czynić, musiał słuchać bez ustanku wymówek i przekleństw żoninych, gorączką spotęgowanych i chaotycznie pomieszanych, a jakkolwiek nigdy wielkiego do niej nie miał przywiązania, żal mu przecie było srodze cierpiącej niebogi. Przywołał felczera jakiegoś, który owoczesnym sztuki lekarskiej zwyczajem póty puszczał krew, póki nareszcie ostatnich nie wypuścił sił żywotnych z osłabionej kobiety. Matka Anusi dogorywała, a jej mąż strapiony rozmyślał już o kosztach pogrzebu, które niemiał czem pokryć. Do starosty nieśmiał się udać, bo ten był rozgniewany na całą rodzinę, która jak twierdził ucieczką córki skompromitowała dom jego, a nawet niemógł się do niego dostać, starosta bowiem dowiedziawszy się o mocnej gorączce pani Wolskiej, bał się zaraźliwej choroby.

Tak stały rzeczy w zamku Buczackim gdy jednego poranku Krzymuski w najgorszym będąc humorze, spowodowanym przez wymówki starosty, czynione mu o brak dochodów, i niewiedząc na kim złość swą wywrzeć, zdybał w sieni jakiegoś obdartusa.

— A toż co znowu? krzyknął Krzymuski. A ty przeklęty żebraku, co tu do stu djabłów szukasz?...

— Mam interes ważny do jaśnie wielmożnego starosty Kaniowskiego! odrzekł znany nam Marcin Kręcigęba.

— Ty, do starosty! a toż znowu co za śmiałość! zawołał Krzymuski, mierząc dziada pogardliwym wzrokiem. Warto by ci dać choć ze sto bizunów.

— Ja nie żądam jałmużny! ja mam ważną wiadomość z którą przychodzę aż z Żółkwi.

— Z Żółkwi!... zagadał Krzymuski zdziwiony, i z większą uwagą patrząc się w mówiącego.

— A tak, odpowiedział dziad, i szepnął kilka słów do ucha Krzymuskiemu, który skoczył jak oparzony i pobiegł do pana starosty.

Stanął wreszcie dziad przed panem Potockim, i pokłonił się nisko.

— Cóż mi tam masz powiedzieć? zapytał go.

— Jaśnie pan mnie nie poznaje?... odrzekł dziad krzywiąc się do uśmiechu.

Wypatrzył się na niego starosta zdziwiony....

— Ja jestem dawny sługa przecie!... miałem szczęście służyć jasnemu panu w jego młodości.... Maciej Kręcigęba.

Starosta poznawszy go teraz, wpatrzył się w niego nie bez smutnego uczucia. Przypomniał sobie bowiem młode lata swoje, pełne swobody i tej wesołości młodzieńczej, która już na zawsze wraz z młodym wiekiem przebrzmiała. Przyszli mu na pamięć zapewne owi krewni i towarzysze młodości, o których nie dawno wspominał, a przy nich i te wszystkie wrażenia pierwsze a najprzyjemniejsze. Przypomnienia takie w wieku późniejszym budzą rodzaj tęsknoty tem przykrzejszej, że się tęskni za tem co się już nigdy zjiścić nie może.

— Kręcigęba! zawołał starosta i twarz jego surowa i namiętna zajaśniała niezwykłym uprzejmości wyrazem. Nie byłbym cię poznał stary lamparcie!... zmieniłeś się, zestarzałeś!...

— Czy to ja tylko!...

— Masz racją stary!... zmieniliśmy się.

— Kilka krzyżyków przybyło jaśnie panie, a starość zmienia czy na wsi, czy w mieście, czy w dobrym czy w złym bycie.... ot zwyczajnie chudy pachołek!... dodał kończąc filozoficzne uwagi swoje.

— Zapewne! zapewne! mówił Kaniowski z pewnem roztargnieniem. Lecz cóż miałeś mi powiedzieć?...

— Jasny pan wie dobrze, że ja zawsze szczerze byłem przywiązany do jasnego pana, i że byłbym najszczęśliwszy, gdybym był mógł zostać w usługach najłaskawszego pana; ale ojciec jaśnie....

— Dobrze już! dobrze!... ale mów już raz z czem przychodzisz? przerwał mu zniecierpliwiony starosta, i rozciekawiony kilką słowami, wyrzeczonemi przez Krzymuskiego o ważnej wiadomości jakiejś i o Żółkwi.

— Ta to o tego przeklętego idzie Niegibowicza.

— O Niegibowicza? zawołał starosta udając zadziwienie.... któż to taki?....

— To ten!... ten!... co to jasny pan!... przypomina sobie.... ten co to jemu!...

— Mów wyraźniej, ja sobie nie przypominam, ja nic nie wiem....

— Ten Niegibowicz, co to go.... mówił dalej Kręcigęba, niewiedząc jak to delikatnie powiedzieć; co to go zdybał jasny pan w drodze już leżącego.... i ten przeklęty Hernek powiada, że go jasnego pana ludzie zabili....

— Nie wiem.... ale mów dalej!...

Wykręciwszy się z opowiadania samego czynu, opowiadał dalej Kręcigęba o Herneku i Swalancie, jak oni jakimś przypadkiem odkryli trupa, i poznawszy w nim Niegibowicza, uknuli zdradliwy spisek naprzeciw starosty i pojechali skarżyć go do Lwowa. Oczywiście wystawił w jak najlepszym świetle siebie, i nawet co na jego pochwałę wspomnić potrzeba, Basię.... dodając nie jedną przesadę o swoich trudach i wydatkach nawet....

— Otóż przybiegłem o ile pospieszyć mogłem na moich starych nogach i o żebranym kiju, aby jasnemu panu donieść i przestrzedz....

— A mnież co to obchodzi! odrzekł dumnie Potocki, ściskając zęby ze złości i z natężenia którego użyć

musiał, aby ukryć wewnętrzne wzruszenie jakiego doznawał. Cóż mnie ten szołdra zrobić może?....

— Hej!... hej!.. zmieniły się teraz czasy jasny panie! zauważał filozoficzny Kręcigęba....

— Hernek! Hernek! wymówił starosta w zamyśleniu!

— Zwyczajnie zamorski przywłoka! dodał Kręcigęba.

W tej chwili wbiegł Krzymuski. Twarz jego zdradzała zmieszanie tak pocieszne, że mimowolnie starosta głośnym parsknął śmiechem, czemu najszczerzej zawtórował stary Maciej. Krzymuski bowiem oczy miał wyszczerzone na wierzch z wyrazem przestrachu i zadziwienia, które mu nawet szeroką otworzyło gębę.

— Cóż tam nowego? zapytał starosta patrząc na papier jakiś, który drżał w palcach Krzymuskiego...

— Wyjeżdżamy!... wyjeżdżamy jaśnie wielmożny panie! ja już kazałem konie przygotować.

— Czyś aspan oszalał! odrzekł starosta, i żyła na czole gniewem mu nabiegła.

— Niech jaśnie wielmożny pan czyta!... tam stoi pod bramą jakiś na koniu w makowym mundurze, co przywiózł ten papier....

— Dajże go raz tu!

I porwał starosta za ten papier złowrogi, rzucił nań okiem, poczerwieniał i pobladł w jednej chwili. Zerwał się nagle z miejsca swego, i namiętnym ruchem przebiegł komnatę razy kilka.

— Mnie! to mnie! Potockiemu, synowi i wnukowi tylu hetmanów. Tobie to, tobie, panie stolniku litewski winien jestem ten wstyd i ohydę.... przez ciebie na to zeszedłem.... aby mnie teraz powoływano.... mówił sam do siebie starosta w najwyższem wzruszeniu....

Stanął nagle, i groźnem okiem spojrzał na Krzymuskiego i Kręcigębę którzy z trwogą patrzyli na niego.

— Cóż się tak zagapiliście na mnie!... i wam już przyszło śmiechy stroić ze mnie.

— Jasny panie! wyrzekli oba drżącym głosem, a Maciej wcisnął się w kąt, jakby się w mur chciał schować.

— Milczeć! krzyknął starosta jeszcze groźniej, i znowu porwał za ów papier, który takiego zamieszania stał się przyczyną, i znowu rzucił nim o stolik z najwyższą passją....

— Ten podpis! mnie! Potockiemu!... Nie! nie poddam się, i nie umknę przed nikim.... Ja Potocki miałbym drżyć przed niemi!...

Stanął, potarł namarszczone czoło, i po chwili zawołał spokojniejszym już głosem.

— Zawołać Wolskiego!...

Raz jeszcze spojrzał na papier z gorzkim uśmiechem, i usiadł przymuszając się do spokoju. Rzeczywiście papier ten był w stanie rozgniewać pana Potockiego, starostę Kaniowskiego, żadnego hamulca w swej swawoli i dziwactwach nieznającego dotąd.

Było to pismo urzędowe z nadpisem: *A caes. reg. judicio criminali, nobili Nicolao Potocki, haeredi in Buczacz.* Po rozmowie z Kręcigębą niepotrzebował czytać treści, bo wiedział o co rzecz szła. I nie szło mu o treść zupełnie, ale ten podpis wydał mu się ledwie do prawdy podobną impertynencją, naumyślnie jemu zrobioną. Po raz pierwszy własnym interesem pobudzony, uczuł położenie teraźniejsze, pierwszy raz osądził po prawdziwej wartości postępowanie Stanisława Augusta.

Nadszedł Wolski.

— Pojedziesz do Lwowa! rzekł starosta.

— Moja żona kona! odrzekł Wolski nieśmiało.

— Więc niech kona.... Pani Wolska kona! dodał starosta z gorzkim przyciskiem, ale Potocki żyje jeszcze.

Milczeli wszyscy, bo dobrze poznali, że w tej chwili niema co żartować z panem Kaniowskim.

— Będzie o niej tu staranie, a jeżeli umrze, będzie i pogrzeb należyty! ozwał się znowu starosta łagodniej. Waćpan zaś pojedziesz z Krzymuskim do Żółkwi i Lwowa. Weźmiecie z sobą tego dziada biednego, który ma więcej do mnie przywiązania, niż wielu ludzi, co mój chleb jedli.

— Oj ten Hernek! zawołali razem obaj domownicy...

— Przynajmiej że to nie brat szlachcic, wyrzekł starosta coraz łagodniej.

Nastała narada, długo dosyć trwająca, w skutek której w kilka godzin poźniej wyjechali Krzymuski z Wolskim i Kręcigębą, wioząc znaczną kwotę pieniężną. Rozumie się samo przez się, że stary Maciej znacznym datkiem obdarzony został.

Tego samego dnia jeszcze skończyła pani Józefa z Wolskich Wolska. Jeżeli nie wiele zbytku użyła za żywota, pogrzeb z rozkazu starosty był tak świetny, jakiego się pewnie za życia spodziewać nie mogła. Ksiądz Rafałowicz na czele licznie sproszonego duchowieństwa solenne celebrował nabożeństwo żałobne, i w długiej a kwiecistej mowie wychwalał pod niebiosa cnoty zmarłej, nie przepomniawszy o zaletach i rozpaczy pozostałego męża, i wszystkiemi sławy trąbami, brzmiącej na wszé strony świata, wynosił wspaniałomyślność Jaśnie wielmożnego Mikołaja Potockiego, starosty Kaniowskiego.

Po nabożeństwie nastąpiła solenna stypa, na którą pan starosta kazał wytoczyć parę beczek wina i miodu. Sam starosta siedział zasępiony w własnym pokoju, ale za to księża i zaproszeni goście używali sowicie darów bożych. Najedli się, uraczyli doskonale, spłakali się, a nawiwatowali co niemiara.

Szczodrobliwość jaśnie wielmożnego starosty głównym była przedmiotem wszelkich rozmów i wiwatów.

— Poczciwy to przecie pan! mruczeli wszyscy do siebie, drzymiąc i kiwając się na bryczkach odwożących ich do domów.

A pan starosta stał w oknie, i patrzał za niemi okiem zamyślonem, a na ustach igrał uśmiech gorzki i szyderczy. (C. d. n.)

SEBASTJAN KLONOWICZ.

O wieszczy spiewaku! i czemuż twe skronie
Boleśnie oplata kolczysty głóg?
Wszak tobie w czarownej piękności osłonie
Bóg ślady ukazał niebieskich dróg.

Wszak kiedy tłum depcze bezmyślnie i zcicha
Zielony a miękki murawy puch,
Pierś twoja natchniona płomienniej oddycha,
W jaśniejsze przestworza twój sięga duch.

Wszak w złote twe usta Bóg wieszcze tchnął słowo,
Pod stopy twe rozsiał marzenia kwiat,
I gwiazdę ci zatlił promienną nad głową,
I loty orlemi pchnął w marzeń świat.

Nie na to, byś mącił niebieską pieśń zgody,
I wplatał w nią cierpki boleści ton,
I grobów całunem ćmił błękit pogody,
Przy gędźbie weselnej zwiastując skon.

Byś kroplę piołunną w godowe puchary,
Zbłąkanym a słabym niebacznie lał;
Nie koił ich pieśnią nadziei i wiary,
Lecz w serca bił jadem zatrutych strzał.

O! wieszczu, gdyś dostrzegł proroczem twem okiem
Na niwach przyszłości wschodzący srom;
Tyś uniósł prawicę i z bolem głębokim
Ściągnąłeś zuchwale z niebiosów grom.

Nie w twoję dłoń gromy, o piewco natchniony!
Wszak po te nie sięgał nasz wieszczy Jan;
Śpiewakom ku niebu pogodne słać tony,
A w grzesznych — pioruny niech ciska Pan!

Nie strzałą być pieśni, nie mieczem ze stali!
Maż lutnia z serc głębi dobywać krew?
O! niech je miłością, niech wiarą zapali,
Niech bole żywota skołysze śpiew.

Pieśń Jana spływała jak rosa majowa
Na kwietne wybrzeża rodzinnych strug;
Szły prosto w pierś bratnią pogodne jej słowa,
Przyjęli ją ludzie, zażegnał Bóg.

I dzisiaj, gdy łono płomienne lutnisty
Od wieka strawiła mogilna pleśń,
Przepływa w spokoju po niwie ojczystej
Z poszmerem dąbrowy odwieczna pieśń.

I twoje, poeto, flisowskie brzmią pienia
O łono wiślanych odbite wód;
Ich wdziękiem podziśdzień, wśród skwaru, znużenia,
Osładza nasz oryl poczciwy trud.

Bo w tchnieniu miłości pieśń jedno poczęta,
Swobodnie wypłynie nad czasów toń;
Pieśń jedno miłości, czarowna a święta,
W niezwiędły liść zwieńczy śpiewaka skroń.

Współcześni odparli twe groźne przestrogi,
Nie tchnęła ich ostrych pocisków stal;
Niebaczni, puścili swe łodzie bez trwogi,
Pośrodkiem wzburzonych żywota fal.

Potomni zarówno zatarli twe pieśnie,
Gdy nowych lirników zaśpiewał rój;
Bo dla tych zapóźno, dla tamtych przedwcześnie
Brzmiał piewco natchniony, głos wieszczy twój!

I tylko brat w pieśni, gdy stanie na grobie
Co serce twe wielkie na wieki skrył,
Przyklęknie z pokorą i rzeknie: „cześć tobie,
Boś w walce nie szczędził młodzieńczych sił."

„Bo prawdę jedynie miłując a Boga,
Umiałeś na barkach krzyż stale nieść;
Choć stopy ciernista krwawiła ci droga,
Ty szedłeś nią wiernie: — cześć tobie cześć!"

* Poeta żyjący przy końcu XVI wieku; prześladowany za swe satyry umarł w Lublinie w szpitalu. Wiersz ten jest to epilog z świeżo pod tym tytułem przez Syrokomlę napisanego poematu.

POPAS W CHĘCINACH.

wyjątek z pamiętników niedrukowanych.

Włócząc się przez lat kilka w królestwie polskiem za nieszczęśliwemi procesami prawnemi, po trybunałach: to Radomskim, to Kieleckim, to Lubelskim, w jednej z tych wypraw, zbrojny w cierpliwość, a opatrzony w szczupły zapas amunicyi, zwanej *de quibus*, jechałem z Krakowa do Kielc.

Jechałem bryczką, parą końmi fornalskiemi i z furmanem, w całem znaczeniu tego wyrazu krakowiakiem.

Bryczka i konie były własnością mojego brata, krakowiak był jego służącym, a ja?... ja?... jako procesowicz (wyrażając się prawnie) osobne na owej bryczce stanowiłem *corpus tabulare*.

Proszę tego porównania stosunków moich do bryczki i zaprzęgu nieuważać z *wyższego stanowiska*, ale jedynie z takiego, jakie siedząc w owej pożyczanej bryczce na wiązce grochowin zajmowałem.

Jechałem żwawo i raźnie po krakowsku.

*) Miasto Chęciny, położone jest w gubernii radomsko-kieleckiej, w dawnym województwie krakowskiem, w królestwie polskim.

Czas przybycia do Kielc i termin wprowadzenia sprawy przed trybunał, na następny dzień był oznaczony. Trzeba było więc spieszyć i z czasem się rachować, żeby przybywszy na miejsce, można jeszcze tyle przynajmniej go zyskać, żeby się z swoim adwokatem naradzić i dodać mu, jak to mówią *feferu*.

Adwokaci bowiem i notarjusze koniecznie potrzebują tej przyprawy.

O chodzeniu w swojej sprawie po sędziach, myśleć nawet nie było można, bo trybunał kielecki składał się w ówczas z ludzi, u których wszelkie praktykowane gdzieindziej wstawiennictwa i osobiste prożby, w obec prawa i sprawiedliwości żadnego znaczenia nie miały.

Kiedy tak jądę i jadę, i rachuję godziny, które miałem do przebycia szesnasto-milowej drogi, ujechawszy mil czternaście, musiałem na przedstawienie furmana raz jeszcze i ostatni popasać. Gdzie? w mieście Chęcinach, dwie mile od Kielc odległem.

Wy! coście podróże w interesach prawnych, zawsze kłopotliwych bo wątpliwych co do wypadku, odbywali;

Wy coście w uśmiechającej się wiośnie, wśród najpiękniejszego lata, w obfitej w deszcze i błoto jesieni lub też w czasie mroźnej, do uprzykrzenia w zawieje śniegów bogatej zimy, spieszyli w odwidziny kochanych, bo bezdzietnych a ciepłych, stryjaszka lub wujcia, stryjenki lub wujenki, jedynie dla tego że ciężka choroba ich ciała przykuła do łoża, a dusze ich do wiecznego żywota skutkiem niemocy wyrywać się zdawały;

Wy spekulanci! zgoła wy wszyscy, dla których nadzieja korzyści i zysku, nieprzebyte manowce w murowany gościniec zamienia, a duch chciwości wskazuje wam bezdroża, któremi najprędzej do celów waszych zdążyć pragniecie, do was się wszystkich odwołuję i was się pytam:

Czem są w takiej podróży dla was, owe najpiękniejsze widoki natury?

Czem są owe resztki starożytnych zamków, o przeszłej zamożności przodków naszych świadczące?

Zgoła, czem jest wszystko to, co dla człowieka z jakim takim zasobem uczucia piękna obojętnem być nie może?

Niczem! odpowiadacie i słusznie, bo i ja chociaż w tej podróży od czterych godzin przeszło, na jednej z najwyższych gór w krakowskiem, miałem przed sobą zwaliska starożytnego zamku Chęcińskiego, pomimo piękności ich położenia, pomimo całego uroku, jaki z powagą lat starych na dalszą okolicę po dziś dzień roztaczają, obojętnem tak jak wy na nie, patrzałem okiem.

I cóż w tem dziwnego?... Kiedy myśl moja oderwana od wszystkiego co ją otacza, bo zajęta jedynie processem, nazajutrz w sądach rozstrzygnąć się mającym, w wyobraźni swojej, niepewnością dręczonej, przedstawiała mi tylko nieustannie wielki, okrągły stół, zielonem suknem nakryty, grono poważnych mężów, w przepisane mundury urzędowe strojnych, w około niego siedzących, i ten krzyż drewniany z wizerunkiem rozpiętego zbawiciela na środku stołu stojący, co mi wiary w dobroć mojej sprawy dodawał, co nadzieję w wymiar sprawiedliwości powiększał. Z podobnem tedy jak wy usposobieniem, w jednym z najpiękniejszych dni sierpniowych w roku 184.. w podróży z Krakowa do Kielc, nie wiedząc jak, przebyłem u stóp zamczyska drogę przez górę chęcińską.

O godzinie 7 wieczór zajechałem na popas do najporządniejszego, murowanego i piętrowego domu zajezdnego, jakie jest w mieście Chęcinach.

Dom ten w wówczas był własnością starozakonnego Silberberga, i odpowiedne też właściciciela nazwisku miał godło; nad wjezdnemi bowiem drzwiami wyrobiona była w płaskorzeźbie góra, cała wysrebrzana. Miasto Chęciny od dawna było mi znane.

Znane też być powinno w całej Polsce z owych ruin starożytnego zamku, które się tak poważnie na jednej z najwyższych gór rozsiadły, a z których po każdej burzy odrywają się po dziś dzień od wielkiej niegdyś budowy wielkiego nawet rozmiaru ciosy i marmury, a raz oderwane, z szczytu wysokości spadają gdzieś daleko w doły i kały, bez nadziei, żeby się z pozostałemi braćmi swemi połączyć na miejscu siedziby.

Znane też jest z słynnych przed tem kopalni srebra, ołowiu, lazuru, i z owego marmuru, z którego wykuta w jednej sztuce wyniosła kolumna, do dziś dnia dźwiga spiżowy posąg Zygmunta III. przed zamkiem królewskim w Warszawie.

Wszystkiego tego zaledwie ślady zostały! Już się tam tego dopatrzeć nie można, o czem pełen powagi historycznej Święcki wspomina.

Wszystko ręka czasu i zbieg wypadków, przez które nasz kraj od stulecia przechodzi, nieubłaganie zniszczył i zatarł, niszczy i zaciera.

O wy godne czci pomniki naszej przeszłości, gdzież są te ręce które was dźwigały? w cóż się obrócą ci, który dziś z obojętnością na upadek wasz patrzą!..

C. d. n.

Sceny z najnowszych podróży.
Valparaiso.

Ciąg dalszy.

Zszedłszy nagle z pałacu *Cavaliera* do pierwszego lepszego domku ludowego, zastaniemy domek dziesięciostopowy, wystawiony z błota, mieszanego ze słomą i pokryty wielkiemi liściami palmowemi, a w nim zobaczymy całą rodzinę: mężczyzn, kobiety, starców i dzieci; i wszyscy razem chorowici, bledzi, wychudzeni, pogarbieni, a smutni i zasępieni siedzą w około skąpego ogniska z czterech ka-

myków utworzonego, i gotują na nim trochę ryżu. To są obie ostateczności drabinki społecznej w Chili.

Lecz we wszystkiem trzeba być słusznym. Lud chylijski jest nędzny, okropnie nędzny, ale najczęściej nędza ta jest z jego strony dobrowolna.

Każdy tłumaczy sobie wolność, jak mu się najlepiej podoba; owoż dla Chilyjczyka najwyższą wolnością, ideałem szczęścia, jest wolność próżnowania. Pół reala na dzień to jest sześć sous, wystarcza mu na całą rodzinę. Kawałek *Tassa* [wołowina krajana w kawałki i suszona na słońcu] ryż gotowany na wodzie, *sandilla* (rodzaj kawona) z dodatkiem *ulpy*, trunku robionego ze zboża, czyliż nie wystarczy mu, by spał godzin dwadzieścia we dwudziestu czterech. Wprawdzie żona nie będzie miała ani koszuli [w ścisłem tego słowa znaczeniu], ani pończoch, ani trzewików, ale mniejsza o to, skoro mąż, *człowiek* jak się tam mówi, może mieć swego konia, na którym by mógł uganiać po Almendralu, lub też żebrać. Bo jest jednym z przywilejów tego ciekawego kraju, że można żebrać konno, czyli raczej, że można być żebrakiem i posiadać konia. Z tego pojąć można jak prawdziwie cudownym sposobem musi się tam mnożyć rasa końska, z czego pochodzi taniość koni nie do uwierzenia. To też cały świat jeździ tam na koniach, i jeździ dobrze. Koń przy domu zastępuje miejsce psa, którego też posiada wszystkie dobre własności, zacząwszy od przywiązania, wierności i dobroci.

Czy by nabrać wodę, przejść z domku do domku, czy by kupić pół funta łojówek w sklepiku na rogu, lub nareszcie wystawić trochę nos na ulicę, aby się przekonać, czy deszcz pada, wszystko to są zajęcia tak ważne i wielkie że się nie mogą obejść bez użycia koni.

Doskonałe to i biedne zwierze! zawsze gotów, posłuszny, pełen ognia i zapału. Lecz jakżeż jest wynadgrodzony za wszystkie swe usługi? Kaleczy sobie nogę po bruku miejskim, bo nigdy nie jest kuty; tam bowiem nieżawodną jest prawdą że koń mniej wart od czterech podków. A choć koń przepadnie, mała to bo łatwo powetowana szkoda.

Wojsko w Chili w czasie pokoju wynosi około trzy tysięcy ludzi. Don Manuel wytłumaczył mi że w tym wojsku oficerowie różnych stopni stanowią dwie trzeci części.

— Z tego pan łatwo pojmiesz, dla czego u nas niebezpieczniejsza jest niż gdzie indziej dezercja oficerów. Bo w takim razie połowa wojska prawie przechodzi do nieprzyjaciela.

— Ale na cóż taki zbytek oficerów?

— Na cóż? aby gdy patrol przechodzi, można było powiedzieć: czterych żołnierzy i jeden jenerał.

— Tam do djabła! jeden jenerał na czterych żołnierzy!...

— Cóż pan chcesz? trzeba było przecie coś zrobić z naszą młodzieżą, a przy tej samej sposobności dać zajęcie krawcom.

— Pan żartujesz?

— Zupełnie nie! i nasze panie nie znajdują by to wiele było mieć dwa tysiące mundurów na swych usługach.

— Ale na serjo! powiedz mi pan, jaki ma stopień ten młody oficer, co tu idzie z szlifami marszałka Francyi.

— Jest porucznikiem.

— A tenże z marynarki, z kołnierzem haftowanym, pewnie admirał?

— Chyba nim przez noc został, bo wczoraj jeszcze był prostym kadetem okrętowym.

Ta przesada w mundurach, ochota bawienia się koniecznie w żołnierzy, nie przeszkadza wszakże oficerom chylijskim do pełnienia obowiązków swoich. Są oni po większej części waleczni, znają swoją rzecz, i posiadają nawet istotne wiadomości. Wszyscy prawie mówią prócz tego dobrze po francusku i po angielsku. Co do żołnierza, ten także dowiódł już że się bić potrafi, ale powierzchowność jego niema nic w sobie wojskowego. Mundur jego składa się z pantalonów białych, które białemi nie są, i z rodzaju wierzchnej sukni, źle wyczyszczonej z mnóstwem, sznurów, ale to wszystko wytarte i nędzne. Z resztą żołnierz chylijski jest to najpoczciwsze stworzenie w świecie; w czasie pokoju muchy nawet nie zabije, i skłonniejszy do tego by spał na piasku z nosem do słońca wystawionym, niż by robił bagnetem.

Obok wojska regularnego jest jeszcze gwardja obywatelska, która wynosi w piechocie i jezdzie razem do 50000 ludzi.

Po wojsku idzie marynarka.

Marynarka chylijska składa się:

1. Z fregaty rozbrojonej *Chili*, zbudowanej w Bordeaux.

2. Z małego statku parowego, kupionego we Francyi, rozbrojonego także.

3. Z Brygu *Condor*, na którym niebezpiecznie by się było puścić, chcąc objechać w koło przylądek Horn.

4. Nareszcie z Goelety *Janequeo*, której by była straszna, nic nie brakuje tylko armat.

Można by się na to spytać, na cóż rząd chylijski utrzymuje admirała, dwóch kapitanów okrętowych, trzech kapitanów fregaty, ośmiu kapitanów korwety, ośmiu poruczników okrętowych, i całą chmarę chorążych i kadetów marynarki. Bo mu się zapewne tak podoba.

Jeżeli wojenna marynarka w Chili jest zupełnie nic nie znacząca, natomiast marynarka kupiecka jest wcale znakomita. Ma bowiem dwieście statków, o ładudze 30000 beczek z 1900 majtkami.

A gdy mowa o zakładach wojennych, nie możemy pominąć jeszcze jednego rodzaju żołnierza, nie zupełnie żołnierskiego. Jest nim *Sereno*.

Mieszczanin Valparaisa, podobny z resztą do mieszczanina z któregokolwiek innego miasta europejskiego, nie wspomni nigdy o tym zacnym *Serenie* bez wyraźnego rozczulenia się.

Ależ bo ten *Sereno* zasługuje rzeczywiście na wszelkie oznaki sympatyi, uszanowania i wdzięczności.

Jest to nocny stróż w Valparaiso, opiekun rodziny, obrońca własności, przedstawiciel moralności publicznej, podpora wdów i sierot.

Każdy *Sereno* ma obowiązek pilnować przez czas służby swojej pewną stałą liczbę domów, których właściciele płacą za to rocznie pewną kwotę miastu. Jest on przed policją odpowiedzialny za każde złodziejstwo, popełnione w czasie jego służby. Łatwo pojąć z jaką troskliwością dopełniają oni swego obowiązku. Mają oni potemu oczy Argusa, które zamykają czasem, ale tylko gdy idzie przypadkiem o kradzieże miłośne.

Mimo takich ostrożności jeżeli przecie popełniono gdzie kradzież, złodzieja wnet wyszpiegują. Zdarza się wszakże czasem, że złodziej potrafi umknąć mimo całej istotnie wielkiej przebiegłości ajentów policyjnych. W takim razie, ponieważ nie może się obejść bez dania przykładu, biorą zwykle tego, na którego przez traf jaki nieszczęśliwy pada podejrzenie.

Schwytawszy taką nieszczęśliwą ofiarę wiodą ją przed Alkalda, i następuje taki rodzaj indagacyi:

— Czy wiesz że ukradli tej nocy to i to, u tego i tego?

— A wiem Excellencjo!

— I czy wiesz że ciebie obwiniają?

— Dowiedziałem się dziś z rana, wróciwszy z Coquimbo, gdzie byłem przy mojej żonie, odbywającej połóg.

— I cóż na to masz do odpowiedzenia?

— Nic więcej wasza Excellencjo!

— Dobrze! czy chcesz się przyznać?

— Jakże mogę się przyznać do tego, czego nie popełniłem.

Po czem wiążą biedaka i wyprowadzają. Po kilku chwilach donoszą mu że Alkalda przez wzgląd na kilka szczegółów, zmniejszających winę, skazuje go na pierwszą próbę pietnastu batogów, które wszakże w niczem wpłynąć nie mają na karę, jaka ma być mu wymierzona gdy się raz przyzna. W skutek tego kładą go gołego po piersi na długą deszczkę, pakują mu na głowę rodzaj mitry z blachy i prowadzą na plac celnej komory, gdzie mu aplikują owe pietnaście batogów, z niemałą pociechą tych, którzy nie mogą się jeszcze odżałować świętej inkwizycyi.

Ten rodzaj próby inkwizycyjnej powtarza się dopóki *winny* nie przyzna się i zwykłej nie ulegnie karze. To też winny zaczyna zwykle od tego, że się przyznaje od razu do czego mu się tylko przyznać każą.

Obok takiego zwyczaju, który ludzkim nazwać niepodobna, Chylijczycy mają inne kary, noszące na sobie piętno rozsądnej filantropii.

Weźmy na przykład kolonje wywiezionych nad cieśninę Magielońską.

Tam skazanym dają zupełną wolność. Do ogólnej uprawy gruntu winni odrobić na tydzień pewną ilość godzin, które raz przebywszy, mogą się zajmować własnym domem i własnym ogródkiem. Najczęściej chwytają ich włóczących się bez rodziny i dachu, i tam dają im schronienie, kawał ziemi do obrobienia, zdrowe pożywienie, ubiór i wolność żenienia się.

Co więcej, skazany ma możliwość oczyszczenia i wyzwolenia siebie samego, przez związki i przywiązanie rodzinne, przez ciągłe życie w środku cudnej, bogatej, dziewiczej przyrody.

Teraźniejsza konstytucja w Chili nie jest starsza od roku 1833 i jest tylko powtórzeniem konstytucyi z r. 1829. Daje ona Chylijczykom wszystkie prawa polityczne i obywatelskie, zabezpiecza nienaruszalność pomieszkania, ogłasza wolność przemysłu, druku, i znosi niewolę. Władza wykonawcza jest przy prezesie, wybieranym co lat pięć, który może być tylko na drugie pięć lat obrany. Dwie izby, senatorów i deputowanych, stanowią władzę prawodawczą, pod nazwą kongresu narodowego. Czterech jest głównych ministrów: Minister spraw wewnętrznych i zewnętrznych razem; minister finansów, minister wychowania, sprawiedliwości i wyznań razem; i minister marynarki i wojny. Administracją wewnętrzną trudnią się intendenci prowincjonalni, gubernatorowie i wicegubernatorowie, inspektorowie, delegowani, nareszcie władze miejskie, co trzy lata wybieralne. Jest jeszcze prócz tego dyrekcja poczt, bióro statystyczne, komisja wspomożenia, prowincjonalne junty dróg i szkoła dróg i mostów.

(D. n.)

Rozmaitość.

* Znakomity litograf warszawski zajął się wydaniem ozdobnej książki do modlenia. Kilku światłych kapłanów warszawskich zajmuje się ułożeniem textu. Drukować się ma stereotypem jak najozdobniej, a obrazków dostarczy litografia Fajansa, wyrównywująca paryskiej.

* Księgarz petersburski, Wolff, nabył od Henryka Rzewuskiego najnowsze trzechtomowe dzieło: Pamiętniki Michałowskich.

* Korzeniowski ukończył trzechtomową powieść: Wyprawa po żonę, która ma najpierw w Nowinach się pojawić, a potem wyjdzie osobno nakładem Wolffa w Petersburgu.

Znaczenie poprzednich Szarad: Okruszynka. Buraki.

Przyjechali od dnia 24. do 26. Października do Lwowa.

Hr. Karnicki Felix, z Roguzna. Hr. Fredro Alexander, z Krakowa. PP. Bocheński Wiktor, z Zurowa. Wolański Franciszek, z Rzepiniec. Wierzbicki Julian, z Kutkorza. Gottlieb Kazimirz z Dołhomościsk. Majewski Józef z Maxymowic. Smarzewski Sylwester z Hankowic.

Hr. Dieduszycki Alexander, z Niesłuchowa. PP. Kalinowski Wład. hr. z Bakowiec. Jaruntowski Jan, z Hermanowiec. Jabłonowski Józef z Rawy. Jaźwiński Alex., z Bortnik. Nahujowski Lud., z Czernicy. Jędrzejowicz Stan., z Felsztyna. Jędrzejowicz Dawid, z Glińska.

Wyjechali od dnia 24. do 26. Października ze Lwowa.

Hr. Dzieduszycki Alex., do Niesłuchowa. PP. Rylski Henryk, do Dłużniowa. Szczepański Tadeusz. do Czajkowic. Turkułł Tadeusz do Żółkwi.

Ks. Sapieha Leon, do Dublan. Hr. Borkowski Sew., do Gajów. Hr. Siemiński, do Jarosławia. Hr. Dzieduszycki Alex., do Krakowa. Hr. Krasicki Kaz., do Dublan. PP. Padlewski Stef., do Suchowolec. Malczewski Hen., do Gniłowod. Łopuszański Wład., do Mokrotyna. Łaszewski Józef, do Poznanki. Bobowski Konst., do Humnisk. Obertyński Leop., do Złoczowa. Wierzbicki Jul., do Kutkorza.

Lwów, 26. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 36 złr. 15 kr. do 37 złr. 30 kr. — Żyta po 26 złr. 15 kr. do — złr. 29 kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 15 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 19 złr. 15 kr. — Ziemniaków po 10 złr. 30 kr do 11 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 50 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 40 złr. w. w. Cetnar siana 1 złr. 40 kr. do 2 złr. 3 kr. — Centnar słomy 2 złr. — kr. do 2 złr. 25 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 26. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	$113\frac{5}{8}$	Pożyczka 5%	75	—
Hamburg za 100 tal. banco	$82\frac{3}{8}$	Akcye banku		1026
Londyn za 1 funt szterl.,	11 4	Kolej północna		$2024\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$112\frac{1}{2}$	Obl. ind.		$68\frac{1}{4}$
Paryż za 300 franków .	$131\frac{3}{4}$	Nowa pożyczka z loteryą		—
Agio duk. ces.	10	Pożyczka narodowa . .		$78\frac{15}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotowka towarem.

	Gotowka		towarem	
Dukat holenderski	złr. 5	kr. 14	złr. 5	kr 17
Dukat cesarski	„ 5	„ 17	„ 5	„ 20
Półimperyał zł. rosyjski	„ 9	„ 2	„ 9	„ 7
Rubel srebrny rosyjski	„ 1	„ 44	„ 1	„ 45
Talar pruski	„ 1	„ 40	„ 1	„ 42
Polski kurant i pięciozłotówka	„ 1	„ 15	„ 1	„ 16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„ 91	„ —	91	„ 15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	66	„ 40	„ 67	„ —
5 proc. pożyczka narodowa	78	„ —	„ 79	„ —

☞ Do dzisiejszego numeru dołączony jest Dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach**. Z drukarni **E. Winiarz**

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 128 z roku 1855.

Nowości literackie

w księgarni H. W. Kallenbacha we Lwowie.

Alzog Jan, Historya powszechna kościoła. w 8ce. Petersburg i Mohilew. 1855. z przedpłatą na 3 tomy 8 złr.

Auleitner Ant., Przewodnik leśny. Zbiór treści najważniejszych działań gospodarczych. w 8ce Warszawa 1850. 1 złr.

Auleitner Ant., Gospodarstwo leśne. Proste zasady hodowania, urządzania i użytkówania lasów. Z rycinami i tablicami. w 8ce Warszawa. 1853. 2 złr.

Bartoszewicz Julian, Kościoły Warszawskie rzymsko-katolickie. Z drzeworytami w 8ce. Warszawa 1855. z przedpłatą na 13 zeszytów 13 złr. 45 kr.

Kaczkowski Zygmunt, Wnuczęta. Powieść. w 8ce. Petersburg i Mohilew. 1855. 4 tomy 10 złr.

Tripplin Dr. T., Nowa podróż na około ziemi. w 8ce. Warszawa. 1855. 3 tomy 8 złr.

So eben ist im Verlage von **Friedrich Manz** (Kohlmarkt Nr. 1148) in **Wien** erschienen und durch unterzeichnete Buchhandlung zu haben:

Anleitung zum
Studium des Wechselrechtes
mit besonderer Rücksicht
auf die in Oesterreich derzeit bestehenden Gesetze.

Von

Dr. Franz Haimerl,

ordentlichem Professor der Rechte an der k. k. Universität in Wien.

gr. 8. geheftet Preis 2 fl. 30 kr.

Wenn auch dieses Werk zunächst für Studirende bestimmt ist, so wird es doch bei Praktikern ebenfalls eine sehr günstige Aufnahme finden, da in demselben vorzugsweise die näheren Beziehungen der Wechselordnung zu dem österreichischen Rechte hervorgehoben sind, und zwar in der klaren und überzeugenden Weise, die die bisherigen Schriften des Herrn Verfassers auszeichnet.

Lemberg, Stanisławów und Tarnow. 1855.

J. Milikowski.

(197 1 – 2)

Pracownia sukień męskich
F. BAŁUTOWSKIEGO
pod Nr. 323 przy ulicy nowej

opsiada zapas znaczny sukień gotowych, a przy teraźniejszej porze jesiennej zaopatrzyła się w stosowne materje wełniane jesienne i zimowe. Sukni tak gotowych jak i zamówionych dostać w tej pracowni można po rozmaitych cenach niższych i wyższych.

1. **Surduty wierzchne,** tak zwane **Oberroki,** w cenie od 25 złr. do 50 złr. m. k. różnie, bruxeliną, półsuknem lub całe jedwabiem podszyte.

2. **Bundy do podróży** z grubego sukna, bardzo trwałe i nieprzemakające, od 25 złr. do 30 złr. m. k.

3. **Paletoty** do ciała przystające, od 20 złr. do 30 złr. m. k.

4. **Profetki** jakoteż **Karbonarki**, watowane lub dwustronne od 20 złr. do 35. złr. m. k. i to w każdym kolorze w jakim sobie kto życzy.

5. **Fraki** od 18 złr. do 30 złr. m. k.

6. **Pantalony** rozmaite, od 8 złr. do 14 złr. m. k.

7. **Kamizelki** pliszowe, axamitne, od 8 złr. do 12 złr. axamitne od 6 złr. do 12 złr. wełniane zimowe od 4 złr. 30 kr. do 7 złr. lżejsze od 3 złr. 30 kr. do 5 złr. m. k.

Kto mieszkając na prowincyi nie może sam przybyć do Lwowa dla wzięcia miary, potrzebuje jedynie przesłać objętość korpusu swego pod pachami z uwagą czy budowa, cała jest zwyczajna, regularna, lub w czem się od zwyczajnej różni. Podług wyrachowań krawiectwa paryskiego pracownia uskuteczni podług tego robotę żądanych sukni, a za udatność jej ręczy. (170 7—12)

Herr Carl Schubuth
in Lemberg, Krakauer Gasse No. 150.

ist bereit und ermächtigt, für uns gefällige Aufträge auf Sämereien und Pflanzen und Zahlungen dafür in Empfang zu nehmen.

Wir bitten diese zur Bequemlichkeit und Transportkosten-Ersparniss getroffene Einrichtung recht zahlreich zu benutzen und sich der prompsten und solidesten Bedienung versichert zu halten. Auch werden daselbst Preis-Verzeichnisse von den neuesten Haarlemer Blumen-Zwiebel und Knollen-Gewächsen so wie auch von allen Gattungen Gemüse und Blumen-Saamen gratis ausgegeben.

Erfurt, im October 1855.

(193 2—4) C. Platz & Sohn.

Księgarnia
J. A. Pelara w Rzeszowie
poleca swoją
Wypożyczalnię książek

która zawiera dzieła w języku polskim i niemieckim, treści naukowej i zabawnej, oryginalne i tłumaczenia najnowszych i najciekawszych dzieł, po kilka egzemplarzy, żeby równocześnie żądaniom kilkunastu abonujących zadość uczynić można.

Katalogu dzieł znajdujących się w czytelni i szczegółowych warunków, udziela na żądanie wyżej wymieniona księgarnia. (194 2—6)

Technik wykształcony w akademii technicznej Lwowskiej, osobliwie w Chemii, z kilkoletnią praktyką w gorzelnictwie, obeznany dokładnie z najnowszemi sposobami zacierania podług metod najsławniejszych Zymotechników, jako Dubrunfaula, Gumbinera, Dra. Ballinga; szuka posady **Gorzelnika** do znacznych dóbr. Posiada także wiadomości wyrabiania najlepszych likierów, Rumu, Araku, także drożdży prasowanych i destyllacyi Olejków eteryczynych. Listy z podaniem warunków uprasza się adresować pod cyfrą L. K. do księgarni H. W. Kallenbacha. (195 2—2)



Realność do sprzedania
lub do wynajęcia na czas dłuższy.

Realność na syxtuskiej ulicy pod Nr. 100 $^{2}/_{4}$ składająca się z pięciu domów, z których dwa jednopiętrowe, i ogródków, mająca razem 19 pokoi, 4 kuchnie, stajnie na 40 koni, komórki i piwnice, przytem wyszynk intratny, jest z wolnej ręki do sprzedania lub do wynajęcia na czas dłuższy. Ta realność szczególnie przydatna na fabrykę lub inne przedsiębiorstwo. Bliższej wiadomości udziela księgarnia Kallenbacha. (189 3—3)

Frühere Ziehung.

Die mit a. h. Bewilligung **Sr. k. k. Apost. Majestät** vom k. k. priv. Grosshandlungshause **J. G. Schuller & Comp.** eröffnete

2te Classen-Lotterie

erfreut sich in allgemeiner Anerkennung der **ungewöhnlichen Vortheile**, welche den Losbesitzern dabei geboten werden, eines so lebhaften Absatzes der Lose, dass mit Genehmigung des **h. k. k. Finanzministeriums** die erste **Ziehung dieser Lotterie** um mehr als zwei Monate früher, als diess im Spielplane bestimmt war, mithin

Schon am 3ten November dieses Jahres

unwiderruflich stattfindet.

Es werden bei dieser Lotterie gewonnen:

Gulden 810,525 W. W.

in vier Dotationen von

fl. 37,280 — 263,325 — 252,200 — 257,720

mit 6 Haupttreffern von

fl. 100,000 — 60,000 — 40,000 — 30,000 — 20,000 — 15,000

und 64,199 Neben-Gewinnste

von fl. 8000 — 5000 — 4000 — 3000 — 2500 — 2000 — 1500 etc.

Se. k. k. Apost. Majestät geruhten diesem Lotterie-Unternehmen, dessen ganzer Reinertrag zur Hälfte für den Karolinenthaler Kirchenbau und zur Hälfte für den F. M. Fürst Windischgrätz Invalidenfond bestimmt ist, ganz **aussergewöhnliche** Begünstigungen zu gewähren, wodurch es ermöglicht wurde, diese Verlosung mit der vorstehenden, noch **niemals** bestandenen **Treffer-Anzahl** auszustatten. Es sind demnach den Losbesitzern nicht nur sehr **bedeutende Geldgewinnste** in Aussicht gestellt, sondern auch die Gelegenheit geboten, die von **Sr. Majestät dem Kaiser** hiefür bestimmten Wohlthätigkeitszwecke zu fördern und zu unterstützen.

Das Los der I. und II. Klasse kostet fl. 3 — das Los der III. Klasse fl. 6 — und das Los der IV. Klasse fl. 10 Conv. Mze.

Diese Lose werden durch das vorbesagte Grosshandlungshaus am Hof Nr. 329 in Wien ausgegeben, und sind n den Geschäftslokalitäten, wo die betreffenden Anschlagzetteln es ersichtlich machen, zu haben.

Wien, im Oktober 1855.

In **Lemberg** sind Lose dieser Lotterie zu haben bei Herren **J. L. Singer & Comp.**, so wie in allen Handlungen und k. k. Lotto-Collecturen, wo die betreffenden Anschlagzetteln affigirt sind.

(177 6—6)